

Aguerre w świetle

fragment

1. Mord w Aguerre

Quinceyowiec klęka przyciskając twarz do podłogi, prawe oko ginie w dywanie, spogląda na zwłoki lewym. Wielki zegar z żelaza, mahoni i kryształu wybija w kącie pokoju dwudziestą siódmą. Lady Amiel na odgłos pierwszego uderzenia kryształowego serca upuszcza kielich z fioletowym spierem; zaraz jednak wino i odłamki szkła unoszą się z podłogi i wracają jej do nieposłusznej dłoni: to wchodzi Scilla. Błyskawicznie robi się też ciemniej. Albedo skóry xenotyka nie przekracza procenta. Scilla jest w białej koszuli i białych spodniach; boso. Nie posiada włosów. Czarne stopy toną w dywanie. Spogląda na plecy quinceyowca i klęczącemu płaczą się myśli; nie wiedząc co rzec, podnosi się on i mówi:

– Piękne.

– Proszę?

– Mord.

Lady Amiel odstawia zawrócony z czasu kielich i nalewa sobie do nowego. By nie patrzeć na ciało męża, wygląda przez okno. Za miastem, na północnym horyzoncie, pod pierścieniem, trzeszczą poziome, czerwone błyskawice.

– Mijamy Śmierć Tataux – mamrocze w przestrzeń.

Karmin kilometrowych piorunów odbija się w jej źrenicach krwawymi niteczkami. Zamyka oczy. Oddycha, oddycha, oddycha. Boże. Co ja teraz zrobię. W iluzjonie już się pewnie gotuje. Gabriel, niech cię szlag, na co ci był ten de Quincey. Kręci jej się w głowie, opiera się o barek. *Kreist*, jaka pustka. Mięśnie brzucha drżą w nie kończących się skureczach.

Nagle bardzo ciężka, musi się teraz opierać obiema rękami, odstawia więc kielich.

To wszedł Aguerre.

– *Gritz*.

– *Gritz, frei*.

Podchodzi do niej.

– *Meigaud*, Carla, naprawdę nie wiem, co powiedzieć. Nie miałem pojęcia. Ogłoszę *vendettę*.

– Nie trzeba.

– Chcę. *Jiis*. – Obejmuje ją, ściska za ramię. – Nie rozumiem.

Lady Amiel czuje, jak zapada się w ciało xenotyka. Stampa *Primusa OHX* zaburza gradienty grawitacji. Wdowa uwalnia się, z wysiłkiem unosi głowę i spogląda w twarz Aguerre. Maskę współczucia. Z podocznych wybroczyn przebija ohydny fiolet gleju. Wołałaby już Aguerre tak jednolicie czarnego jak Scilla, przynajmniej nie byłoby widać tego. Oni czasami pocą się glejem i maż pozostaje na przedmiotach i osobach, które dotykali.

Aguerre kręci głową.

– Cokolwiek. Tylko powiedz.

Lady Amiel chyba nawet nie słyszy. Wykonuje błędny ruch dłonią.

– Muszę usiąść – mamrocze.

Wbiega krzesło. Aguerre wyciąga rękę i mebel wpada mu w nią, zakręcając w locie.

– Proszę.

Kobieta siada.

Okno otwiera się na oścież; zimne powietrze nieziemskiej nocy wpada do środka, wprawiając w drżenie płomienie świec, mierzwiąc białe włosy wdowy, szeleszcząc papierami na regale. Porusza się także rękaw szaty lorda Amiel.

Scilla obchodzi jego zwłoki, bezgłośnie. Tam, gdzie spogląda, momentalnie robi się jaśniej; gdy wpatruje się dłużej w poderżnięte gardło mężczyzny na fotelu, rana rozjarza się do białości wręcz kaleczącej oczy.

Quinceyowiec stoi w bezruchu. Patrzy; ucztuje. Na wysokości jego łokcia obraca się w powietrzu korona kurzu, spleciona w małym residuum oktomorficznym. Quinceyowiec czyni w zamyśleniu pół kroku w bok i syczy z bólu, gdy ręka trafia w mikrowęzeł 4D.

– Znam go? pyta wdowa przez ramię, ocucona odgłosem cierpienia.

Aguerre – głowa w Iluzjonie – odpowiada:

– Chyba nie. Pokazać?

– Dziękuję. Nie trzeba.

– Ucieka.

– Tak.

Aguerre ogląda się na Scillę. Scilla Miaso OHX, numer 16 według sierpniowych notowań Łuźnego, 356.7 oct., dwadzieścia dwa lata bezsenności; pies Aguerre. W takich sytuacjach słowa między nimi nie są potrzebne, ani w Glinie, ani w GRI. Pół spojrzenia, drżenie stampy, żyła gleju, to wystarcza. Scilla kiwa głową, zakręca na pięcie, mija zgarbioną lady Amiel i wyskakuje przez okno z siedemdziesiątego piętra. Noc połyka czarno-białą postać bezdźwięcznie.

Aguerre masuje ramiona wdowy. W końcu coś się w niej przełamuje pod jego dotykiem i kobieta wydaje z siebie pierwszy krzyk rozpaczny; na razie jeszcze bardziej szept, westchnienie ale tak uwalnia się dusza.

Aguerre podnosi wzrok na quinceyowca. Spojrzenie xenotyka czują nawet nieprzytomni; teraz quinceyowiec wzdryga się pod nim, ogląda nerwowo i wychodzi.

Minuta ciszy. Zwłoki stygną. Nocny wiatr. Kobieta w rozpacz. Zapach gleju.

Aguerre czyta w iluzyjnej bibliotece konstytucję zabitego. Konstytucja w punkcie piątym cytuje pełny tekst Deklaracji Londyńskiej, włącznie z ortodoksyjną Zasadą Arté. Aguerre pyta bibliotekarza o indeks i ten wskazuje mu przypisy. Egzekucja Zasady wymaga ustalenia estetycznego statusu zabójstwa. Ponieważ Zasada zgadza się co do smutnego faktu, iż obiektywne piękno, choć istnieje, nie może zostać orzeczone po tej stronie śmierci – przybędzie tu dwunastu quinceyowców i oni wydadzą sąd. Informacja już pomknęła glejowodami, autotestament Gabriela się wykonuje.

Czyli morderca może jednak jeszcze podpaść pod lokalną jurysdykcję.

Aguerre, masując kark i barki wdowy, otwiera drzwi do Scilli i wchodzi przez Stróża do jego głowy.

– Złap mi tego artystę – myśli mu.

W Glinie, dwa pokoje dalej, nadal trwa bal z okazji piątej rocznicy zakupu planety, płynie muzyka i śmiech soczysty, ludzi oraz xenotyków.

2. Pies i Kameleon

Scilla Miaso wyskakuje przez okno, nogawki i bufoniaste rękawy furkoczą w chłodnym powietrzu, biel rozedrgana ponad sprawność ludzkiego oka, gdy tak spada w morderczym pędzie, siedemdziesiąte, sześćdziesiąte, pięćdziesiąte piętro, błyskawicznie ciemnieją i jaśniejają mijane w locie gargulce, płaskorzeźby, wielokolorowe okna, płaszczyzny lśniącego żywokrystu zaszębiające się na ścianie Aguerre Tower w Penrose'owe mozaiki.

W okolicy czterdziestej kondygnacji xenotyk zaciska przestrzeń nad głową, szybko przesuwając punkt zapaści wzwyż i wzmacniając węzeł, aż studnia grawitacyjna zakleszczona zostaje dwieście metrów ponad ziemią, w środku ulicznego kanionu między Aguerre Tower a Zamkiem Zakonu. Z początku studnia musi być głęboka, by wyhamować upadek Scilli: zanim Miaso się zatrzyma, a potem wznosi do lokalnego pseudo-Lagrange'a (osiemdziesiąte drugie piętro) – od Wieży i Zamku odpada kilka słabszych fragmentów zewnętrznych dekoracji, z narożnego tarasu Zamku wyrwane zostają też cztery wielkie sztandary OHX, gigantyczne płachty złego fioleto z nakreślonymi na każdej trzema srebrnymi literami spadają w węzeł, oplatają się wokół niego, długie drzewca wystają z kłębowiska pod dzikimi kątami, jedno się łamie... Koczaste fioletowe słońce nad głową xenotyka.

Scilla, zawieszony w punkcie nieważkości, przygląda się Aguerre City; astygmatycznie, bo zarazem w Glinie i w Iluzjonie. W Glinie miasto błyszczy blaskiem podwójnie odbitym – jest noc (zawsze jest noc), słońce pod horyzontem, lecz złoto-niebieski pierścień planety dostarcza wystarczająco dużo światła, by żywokrystna metropolia jaśniała na tle starego, wulkanicznego płaskowyżu niczym diament na żużlu. Diament jest sześcioboczny, przy czym fasety przednia i tylna (należy bowiem orientować go na płaszczyźnie) są nieproporcjonalnie wydłużone przez identyczne odbicia transferowanej dzielnicy. Aktualnie transferuje się Dystrykt Handlowy, rosną przed miastem szpiczaste Trojaczki Goose'a, jeszcze nie upadłe po przeciwnej jego stronie; a już lśnią kryształowym żywokrystem w awangardzie Aguerre City, przez Dzielnicą Kabalistów. Ponieważ centrum oraz osie miasta nieustannie się przesuwają, i to w różnych kierunkach, jako że zmienny jest kierunek przemieszczenia się metropolii – wzór jej ulic z konieczności posiada strukturę fraktalową, zawsze z paroma ogniskami, do których dojdiesz z każdego punktu, stosując się do jednego i tego samego algorytmu wędrówki. Ognisko najbliższe geometrycznemu środkowi Miasta Chaosu zwą Wielkim Atraktorem. Aguerre Tower i Zamek OHX zostały przekopiwane ponad dwa tygodnie temu i Scilla, wisząc tak między nimi i patrząc ku frontowi metropolii, ma przed sobą cztery atraktory, osiemdziesiąt procent Aguerre City, a dalej – czarną równinę pociętą płytkimi wąwozami, wschód pierścienia, ogromną kopułę gwiazd, nawet po stronie dnia nigdy do końca nie blaknących.

W Aguerre mieszka zaledwie czterysta tysięcy ludzi; zważywszy na porę, nie należałoby się spodziewać wielkiego ruchu, lecz jako że trwa święto – dachy i tarasy, powietrzne kawiarnie i dancingi są zapełnione. Pograżone w niemal pełnym mroku chodniki naziemne służą wyłącznie bezludnemu transportowi automatycznemu, w tym nieustającej żywokrystnej perystaltyce wędrownego miasta, a że zgodnie z zarządzeniem burmistrza zabroniony jest ponad AC transport powietrzny – wróciła tu do łask zapomniana sztuka spaceru; Aguerre City jest wystarczająco małe. Od swych narodzin poddane konwencji architektury trójwymiarowej – gdzie żaden z kierunków nie jest dyskryminowany z uwagi na wektor grawitacji i niedoskonałość technologii materiałowych – miasto wykształciło tradycję podróży po ścieżkach łączących dowolne dwa punkty znajdujące się pod jego dyfuzyjną pólśferą powietrzną. Węższe i szersze ścieżki z najszybszego, czarnego, wysokoenergetycznego żywokrystu rosną pomiędzy budynkami ze średnią prędkością 3 km/h; jeszcze szybciej kruszą się potem do piezoelektrycznej sadzy. Fazę aktywności miasta można osądzić po jednym rzucie oka: jak gęsta jest sieć dróg powietrznych. Dłuższe spojrzenie pozwala na precyzyjniejszą ocenę: punkty zagęszczeń, zbiegów opadających i wznoszących się alejek, wskazują – niczym w strukturze zmarzliny, w schemacie polimeru – centra krystalizacji, miejsca, gdzie najmocniej bije puls miasta. Teraz nie ma wątpliwości, iż uwaga metropolii skupia się na Aguerre Tower: żywokrystny ziggurat otacza ciasna rozgwiazda czarnych wstęg, niektóre jeszcze rosną, niektóre już się rozpadają, i to przeważnie poczynając od końców odleglejszych od wieży – znak to, iż wciąż więcej gości przybywa, niż opuszcza komnaty planetodzierzcy. Sieć owa jest w tej okolicy tak gęsta, że należy uznać za cud, iż nagle wybicie przez Miaso grawitacyjnej dziury nie naruszyło konstrukcji żadnej z alejek. Jedną ma pod sobą, jedną po lewej, jedną na poziomie fioletowego słońca –

ta prowadzi od Strażnicy, najwyższego budynku miasta, opadając ku balkonowi sześćdziesiątego drugiego piętra Aguerre Tower (jeszcze doń nie dorosła). Mężczyzna w białym garniturze i kobieta w granatowej sukni topless przystanęli na niej, oparli się o poręcz, spoglądają na Scillę; kobieta unosi ku niemu w niemym toaście asymetryczny kielich-konchę. Miaso ich ignoruje – jest już w Iluzjonie.

W Iluzjonie/Open/Aguerre00 panuje tłok czterokrotnie większy. Na obchody rocznicy przybyło ponad milion gości, głównie z Ziemi, lecz także nieproporcjonalnie wiele z kolonii. Zaproszeni są bowiem w większości (w ten czy inny sposób) powiązani z ICEO lub wręcz z OHX. Teraz tłoczą się na widokowych instalacjach miasta, kaskadowych tarasach, żywokrystnych drózkach powietrznych, glinnych i iluzyjnych. Dla gości iluzyjnych lewitujący xenotyk stanowi większą atrakcję: troje stojących na alejce za parą w wieczorowych strojach wskazuje Scillę palcami, kobieta z kielichem tłumaczy im coś przez ramię. Miaso nie zwraca uwagi, jest już w Iluzjonie/Open/Aguerre00/Personal/Track07. Ściągnięte przez Stróża nagranie sprzed kilkunastu minut nakłada się na obraz czasu rzeczywistego. Morderca wyskakuje przez okno z Aguerre Tower – ale nie jest xenotykiem i sztuka Rzeźby czasoprzestrzeni jest mu obca, jego strategia inna: wyskoczył, obrócił się w locie, przywarł do ściany, wisi na palcach. Miaso przygląda mu się z uwagą. Mężczyzna jest wysoki, szczupły, ma długie ręce, długie nogi, czarne włosy splecione w warkocz; twarzy nie widać, przyciśnięta do muru. Jasnoszary garnitur marszczy się i zwija – na kolanach, na ramionach, w pasie. Morderca szybko strąca ze stóp skórzane mokasyny – lecą w przepaść. Nogi wyszukują punkty podparcia. Nie ma skarpet i teraz widać, co się dzieje z jego palcami: wydłużają się, wykrzywiają, grubieją. Scilla mierzy tempo metamorfozy: rząd sekund. Tak brutalna RNAdycja wymaga gęstej sieci nanowodów energochłonnych na poziomie komórkowym, potężnych zapasów szybkich analogów ATP... Zabójca musi być ciężko znanocyborgizowany.

Budzi się w Scilli nagle pragnienie: złapię tego artystę dla Aguerre.

– To Kameleon – odpowiada swemu suwerenowi.

Kameleon, metamorficzny asasyn, zakończył już optymalizację fenotypu (genotyp optymalizuje błyskawicznie) i teraz schodzi po elewacji wieży w tempie kondygnacji na sekundę. Miaso przesuwając sobie spektrum odbieranych fal elektromagnetycznych w lewo: widzi pozostawianą przez Kameleona smugę ciepłego powietrza, gorączkę jego ciała. Temperatura organizmu asasyna utrzymuje się tuż pod progiem denaturacji białka.

Na pięćdziesiątym drugim piętrze Kameleon skręca ku balkonowi, odwraca się i skacze w przepaść – znajdowała się tam żywokrystna ścieżka, której teraz już nie ma. Miaso wywołuje ją w Iluzjonie. Kameleon biegnie po niej stałym rytmem niezmordowanego sprintera, na ciągłym długu tlenowym, w biegu od nowa się RNAdytując, błękitny termowarkocz za nim.

Oczywiście gdyby Scilla chciał prześledzić poczynania mordercy lorda Amiel w skali czasowej 1:1, nigdy by go nie dopadł – zawsze o ten kwadrans w tyle. Toteż przyspiesza projekcję do 1:4, 1:10, 1:20. Dojdzie go w minutę. Miaso odpala NavigатораXG i rozpoczyna się pościg – Pies i Kameleon w Mieście Chaosu, pod zimnymi gwiazdami.

Raz, dwa, trzy; co krok, to nowa rzeźba czasoprzestrzeni. To już są szybkości i precyzje niedosiężne dla nagich umysłów, nawet jeśli xenogenetycznych; milisekundy, milimetry, ugięcia pola grawitacyjnego co do 0.00001 g – a i tak niechlujne i pospieszne w porównaniu z Rzeźbą wielkoskalową, chlebem codziennym bezsennych. Tutaj to zaiste spacerki. Raz, dwa, trzy; co krok, to kilkadziesiąt metrów, po wysokich łukach, między płataniną czarnych ścieżek, przez zawieszony w nocnym powietrzu tłum, glinny i iluzyjny, przez światła, muzykę i śmiech, w furkocie białej tkaniny, w obłoku cienia, zawsze spadając, zawsze „w dół”, ku kolejnemu węzłowi, też zaraz się rozwiązującemu – i tak od studni do studni, czarny Pies w siedmiomilowych butach; tyle że boso. A gdzie spojrzysz, tam ogień, a gdzie kędy przejdzie – po niewidzialnych mostach nocy, setkę metrów nad ziemią – tam nagle wszystko nieważkie:

mijani zbyt blisko glinni goście łapią się poręczy, kolorowe trunki uciekają z poruszonych przez nich naczyń, ich ubiory marszczą się w przeciwnych zamierzonym kierunkach. Raz, dwa, trzy; za duchem Kameleona przez kolorowe Aguerre City. Dopada go na placu Wielkiego Atraktora.

I bynajmniej żadnych tu bojów, żadnych zmagañ efekownych, pompatycznego *mano a mano*. Kameleon jest w stanie wyRNAdytować sobie gruczoły produkujące najzłośliwsze zarazy, jady ultratoksyczne, nie musi dotknąć, by zabić; lecz Scilla – Scilla przecie to xenotyp, glej w jego żyłach, glej w jego genach: by zabić, nie musi nawet znajdować się na tej samej planecie.

Odpala ze wszczepki jedną z wersji Cage'a, szybkie makro NavigatoraXG. Kameleon przecina właśnie rondo, przeskakuje powolne gąsienice transportowego żywokrystu – i po kolejnym skoku po prostu zawisa w powietrzu. NavigatorXG odpowiednio zmniejsza moc zafiksowanego przez Cage'a węzła, który zniwelował pęd mężczyzny, i teraz znajduje się on w punkcie zerowego bilansu grawitacyjnego, subtelna Rzeźba dookólna więzi go w ciasnym bąblu nieważkości. Z tej klatki nie ma ucieczki: nawet nagły odrzut go nie uratuje, NavigatorXG natychmiast zoptymalizuje Rzeźbę, wszelki ruch będzie ruchem pozornym.

Miaso opuszcza Iluzjon i spada na bezludny Wielki Atraktor Gliny. Zatrzymuje się kilkanaście metrów od Kameleona, trochę wyżej od pochwyconego. Asasyn obrócił się w powietrzu, spogląda na czarnoskórego xenotypa wielkimi oczyma barwy miodu. On na Scillę, a Scilla patrzy na Kameleona – powoli rośnie dookoła zabójcy aureola złotego blasku. Kameleon dyszy głośno przez wpółotwarte usta, gęsta ślina ścieka mu na brodę. Nie opuszcza wzroku. Wydawałoby się, że powinni sobie coś teraz powiedzieć, wytłumaczyć, zapytać, przekląć; ale żaden nie mówi nic.

Scilla przechyla głowę. Klatka zaczyna się wznosić. Zabójca podciąga kolana pod brodę, kuli się do pozycji fetalnej. Miaso przeczuwa jakąś potężną RNAcję, lecz nie jest w stanie jej zapobiec – więc tylko gotuje makro sejf atmosferycznego, ClosedCircuit.

Szybują w ciszy.

Pół minuty później, gdy zbliżają się ponad AC do Zamku, Kameleon płonie już w podczerwieni błękitną żagwią. Gdy zaś lądują na górnym tarasie, ów sekretny nowotwór dociera do jego skóry i martwy asasyn na oczach Scilli Miaso rozpada się, rozplywa w kupę gorącego djenajowego błota.

3. Jak wdowa

Co dziwne, potem zasnęła. Spała długo i chyba nawet śniła, na pewno śniła, wszak wyrzuciło ją na jawę z taką siłą, że prawie spadła z łóżka – ale co właściwie? Nie przypomni sobie.

Stoi teraz oparta o futrynę drzwi balkonowych, zakutana ściśle w jedwabne kimono, Aguerre City lśni przed nią siedmioma barwami nocy, Śmierć Tataux grzmi i błyska, świeci pierścień, na ścieżce dwa piętra niżej tańczy zakochana para... Carla Paige stoi i liczy lata. Ile przed Gabrielem; ile z Gabrielem; ile po nim. I co przeważa. Nie jest smutna, nie rozpacza, nie oplakuje – jest spokojna, nadszedł dla niej czas arytmetyki.

Ktoś puka. Carla wchodzi do Iluzjonu/Personal i ogląda się na drzwi. Rozpuszczają się pod jej spojrzeniem w rzadką mgłę: to Frederick Aguerre. Wpuszcza go.

– Wstałaś. Muszę z tobą porozmawiać.

Ona kiwa głową niepewnie – przytakując? zapraszając? okazując rezygnację? Zaraz odwraca się z powrotem ku miastu. Widok wielkich przestrzeni wywołuje u niej dreszcze, podświadomie buduje wrażenie zimna; więc tym mocniej obejmuje się ramionami, ściślej zamyka szatę.

Aguerre – już w bardziej swobodnym stroju: szarych lnianych spodniach o szerokich nogawkach, niedopiętym kaftanie OHX (fioletowa satyna przesywana srebrem, czarne mankiety) – podchodzi do niej, nachyla się. Znowu sam nie musi jej dotykać, stampa przyciąga ją i tak, w takiej bliskości – wręcz

nieuchronnie; Carla ciąży ku xenotykowi, odchyła się od futryny, traci równowagę... W ostatniej chwili odwraca się i z wysiłkiem odstepuje wstecz. Przelotny gniew na jej twarzy.

– Chodź, przejdziemy się – mówi szybko Aguerre.

Wychodzi na balkon, w Iluzjonie/Edit/Aguerre03 zamawia ścieżkę. Czarny jęzor wyrasta mu spod stóp wprost przepaść. W półobrocie burmistrz wyciąga zapraszająco rękę ku lady Amiel.

Spacerują pod gwiazdami. Ścieżka szybko wybiła wzwyż, meandrują po niebie ponad dachami Aguerre City. Najmocniejszy teraz jest cień nie od pierścienia, lecz od Śmierci Tataux – stroboskopowe światło, stroboskopowa ciemność.

Stampa w końcu, rzecz jasna, zwyciężyła i wędrują bok w bok, Aguerre obejmuje Carłę długim ramieniem, ona zapada się w niego, kryje twarz w miękkim fiolecie – fiolecie, barwie gleju.

– Gdybyś popłynął z nami do Sardynii – odzywa się po raz pierwszy.

Aguerre mruga szybko. Gdybym popłynął z nimi do Sardynii. Mój Boże, czyż i ja nie śniłem o takich niemożliwościach? Przekleństwo wyborów dokonanych. Dwadzieścia trzy lata; ona miała wówczas niecałe dwadzieścia. Duszny koniec sierpnia, Adriatyk, wesele w jakiejś wiosce, bodajże córka wójta wychodziła za męża. Głośna muzyka zwabiła turystów. Przemieszciliśmy się, pośród tańczących tubylców, w chybocie świateł kolorowych żarówek, w zapachu potu, alkoholu i morza, tak bliskiego przecież – wystarczyło spojrzeć ponad murkiem ogrodu gospody, Księżyc ślizgał się po ciemnych falach. – Fred, Carla, poznajcie się. – Kto nas sobie przedstawił? Tego akurat nie pamiętam. Pierwszy taniec, i potem wszystkie inne, przez sześć godzin do świtu. Najśmieszniejsze jest to, że nawet jej nie pocałowałem; także słowa były niewinne, jeśli w ogóle jakieś były, bo we wspomnieniu nie rozmawiamy, tylko tańczymy, coraz wolniej, coraz bliżej, patrząc sobie w oczy i uśmiechając się, lekko, najlżej, tym podświadomym skurczem warg, bardziej do swoich myśli, aniżeli do drugiej osoby; w milczeniu. Była w biało-błękitnej bawełnianej sukience do kolan, na wąskich ramiączkach; przepocony materiał przylgnał jej do pleców, tym bardziej, że przyciskała go moja dłoń. Nie miała stanika. Przesuwałem kciuk cal w górę, cal w dół, po linii jej kręgosłupa. Tyle. Wszystko było w spojrzeniu. Musiałem być pijany: w tym potrząśnięciu głową, którym odrzucała wstecz długie blond włosy (wówczas nosiła długie), widziałem grację ruchów naszych niepoczętych córek. Zapadała mi się w pierś, już wtedy (są stumpy glejowe i są stumpy psychologiczne; które potężniejsze?). Ale zaraz musiała się odrywać, by ponownie zajrzeć mi w twarz; albo ja ją odchylałem. Cały czas utrzymywałem się w tym przyjemnym stanie ćwierćerekcji, na granicy fizycznych pożądań. Przez materiał sukienki oraz koszuli czułem nacisk jej sutek. Zanurzeni byliśmy nawzajem w swych aurach, aż po podświadomą harmonię ruchów. I spojrzenie; i ten uśmiech. Bolały mnie nogi; ją zapewne też. Kiedy usiedliśmy i opróżniliśmy szklanice miejscowego wina, zarazem słodkiego i kwaśnego, powiedziała: – Wyżywamy pojutrze z przyjaciółmi do Sardynii, na trzy tygodnie; znajdzie się miejsce. – Jak tylko zrobię test na zgodność, mam już opłacony, we wtorek. – Okay – odparła i uśmiechnęła się do Księżycyca. Dolałem jej wina. Chłodny wiatr osuszał skórę. Była zbyt piękna, balon euforii rozsadał mi klatkę piersiową. Uścisk jej dłoni; i jak we wnętrzu mojej kuliły się jej palce... Nigdy nie popłynąłem do Sardynii. Szansa niczym jeden do kilkuset milionów – a jednak w czwartek miałem już Stróża, w piątek zasnąłem ostatni raz, w niedzielę byłem xenotykiem. Dwadzieścia sześć lat temu. *Kreist*, gdybym popłynął!

– Musimy porozmawiać. O Gabrielu.

Carla nie odpowiada. Zatrzymują się; ale ścieżka rośnie dalej, kreśląc ponad miastem randomiczną krzywą.

Aguerre siada, opierając się plecami o balustradę, stampa grawitacyjna pociąga kobietę za nim – stampa oczywiście sama z siebie nie jest na tyle silna, by powodować pozostającym w równowadze ciałem człowieka, lecz Carla znajduje się obecnie w takiej otchłani bezwoli, że najslabsze nawet pchnięcie, o ile umiejętnie przyłożone, ciśnie ją ku czynom najstraszliwszym; usiąść na chwilę ponad

stolicą xenotyków u boku alternatywnej miłości swego życia... takie rzeczy nie sięgają nawet powierzchni jej myśli.

– To nie był quinceyowiec. Ten morderca. To znaczy... orzeczenie Sądu Estetycznego wypadło na jego korzyść, zabił go zgodnie z ich kanonami piękna; ale tak naprawdę to był Kameleon.

Zerka na nią, by się zorientować, czy Carla rozpoznaje termin – ale wygląda, że ona w ogóle nie poświęca mu uwagi: z dłonią płasko przyciśniętą do karbonowej powierzchni alejki, głową przechyloną, nasłuchuje dźwięków zza kurtyny ciszy.

– Słyszysz? – pyta szeptem. – Ten szum.

Aguerre nakrywa jej dłoń swoją dłonią, większą, przeciętą dwiema żyłami gleju, drobne krople gęstego fioletu wypacają się na owłosionej skórze.

– To wewnętrzne arterie żywokrystu – tłumaczy jej powoli. – W każdej rosnącej jeszcze ścieżce wyczujesz to drżenie. Nawet najgorętszy żywokryst nie podola krzywej energetycznej dla przyrostu masy w takim tempie: transportuje się wewnętrznymi kanałami moduły makrocząsteczkowe, płynne masy rekonfiguracyjne. To słyszysz; to czujesz. Jak rośnie. O Kameleonach wiesz?

– Tak. Chyba tak.

– Ktoś to zlecił. Wysokie sfery. Polityka; a wbrew pozorom nie ma tak wielu powodów dla mordu politycznego. W dzisiejszych czasach, po prawdzie, nie ma już chyba żadnych. A jednak to musiało przejść przez oficjalne struktury rządowe. Któreś z mocarstw. To jest ten poziom technologii. Słuchasz mnie?

– Mam czterdzieści pięć lat.

– Tak.

– Jedna trzecia życia. Dwie trzecie, jeśli nie liczyć ewidentnej starości. Na cholere mu był de Quincey?

– Nie masz racji, ta furtka w konstytucji Gabriela to był tylko szczęśliwy bonus dla wykonawcy; skoro posłali aż Kameleona, zabiliby go i tak. Opowiedz mi.

– Co?

– Opowiedz, czym on się ostatnio zajmował. Z kim kontaktował. Jakies konflikty. Kontrakty. Groźby może. Cokolwiek.

– A co powiedział Kameleon? Zatrzymałeś go przecież. Prawda?

– Kameleon nic nie powiedział. Miał zawieszonoego execa autoletalnego, sperwertował się nam momentalnie do rakowatej zgnilizny.

– Ach.

Zaciska palce na dłoni Carli.

– Opowiedz.

Kobieta podciąga kolana, opiera o nie brodę. Wiatr zsuwa połę szlafroka z jej ud, ta sama gładkość jedwabiu. Aguerre odruchowo poprawia materiał.

– Jak się czujesz? – pyta cicho.

Carla po raz pierwszy podnosi na niego wzrok. Wszystko jest w spojrzeniu.

4. Iluzjon/Open/Veniceo

W Wenecji pada deszcz, gołębie się gdzieś skryły. Na Piazza San Marco glinna staruszka walczy z glinnym pudelkiem na długiej smyczy. Aguerre przeskakuje ponad smyczą – choć nie musi. Staruszka go nie widzi, zamknięta w *CLay, Corporeal Layer (of Reality)*. Widzą go za to bodaj wszyscy goście i obsługa glinnej restauracji, niegdyś kawiarenki Byrona i Balzaca, do której Aguerre wchodzi; fioletowy

kaftan skrzy się pod ich astygmatycznymi spojrzeniami.

Yesada Ori OHX (ledwo dwa lata bezsenności; numer 603 u Łuźnego) wstaje na powitanie Aguerre, jak nakazuje etykieta Zakonu – Aguerre czuje, że Yesada wstałaby i tak, z czystego, szczerego szacunku. Ta dwudziestoletnia xenotyczka, oryginalnie na genach hinduskich i japońskich, fenotypuje się postacią tak młodej, drobnej, filigranowej wręcz dziewczyny, że Frederick w bezpośredniej jej obecności – glinnej czy iluzyjnej, bez znaczenia – mimowolnie zapada się w formy paternalistyczne; a ona odpowiada mu symetrycznym odbiciem. Bardzo długie, kruczoczarne włosy, skóra jak miód... Technologia poszła przez ten czas znacznie do przodu, syzygie z ostatnich lat są już prawie-bezblędne: żadnych zewnętrznych skaz glejowych, wybroczyn fioletu.

Yesada uśmiecha się, kłaniając. Zawsze jakoś instynktownie budzi w nim sympatię. Pamięta, jak składała przysięgę, cały rytuał na sztywnej edycji – tak była przerażona. Jej rodzice, dziadkowie, pradziadkowie – od świtu w błocie pól ryżowych; gdyby nie Karta Bostońska, nigdy nie opuściłaby swojej wioski.

– *Gritz*.

– *Gritz*.

Siadają. Podchodzi kelner, podaje menu, zapala świece. Fiolet odświętnego kaftana Yesady lśni mokro; w Glinie i na planecie xenotyk zobowiązany jest ściśle stosować się do kodu Zakonu, także w ubiorze. Iluzyjny Aguerre właściwie mógłby wystąpić po cywilnemu. Ale z kolei jemu, który wszak jest *Primus Interpares Ordo Homo Xenogenesis*, nie bardzo wypada. Tak więc siedzą naprzeciw siebie fiolet i srebro, subtelne piękno i toporna szpetota, *CLay* i *GRI* – mały paradoks ontologiczny pod dachem „Caffe Florian”.

Przyniesiono zamówione przez nich potrawy; jedzą teraz, pospołu sen i materię. Bardzo to niegrzecznie spotykać się z glinnymi w publicznych miejscach w zamkniętych hierarchiach Iluzjonu: nie należy dodatkowo porcejować rzeczywistości, inaczej wszyscy skończymy jako technoautyści, spacerujący z jednakowo szeroko rozwartymi oczyma przez zimne burze i gorące noce, i rozmawiający z duchami... A tak przynajmniej wszyscy widzą te same duchy i kiedy Aguerre konwersuje przyjaźnie z małą Yesadą ponad truflami i lasagnią, cała restauracja obserwuje każdy gest i każdą minę pary xenotyków; restauracja i kilkanaście jej odbić z niższych szczebel hierarchii Iluzjonu, to popularny lokal. Należała na publiczne miejsce spotkania.

Aguerre się to nie bardzo podoba, ale oczywiście nie może – na razie – spytać ją o powód; nie tutaj. Chociaż w istocie doskonale go zna – lecz i tak ciekaw jest odpowiedzi Yesady. W sumie niewiele wie o młodej xenotyczce, ale na tyle zdążył ją poznać: zbyt jest nieśmiała, by umiejętnie kłamać.

Rozmawiają zatem o rzeczach neutralnych: powodziach w Ameryce Południowej, Trzeciej Wojnie o Tajwan, antymonopolistycznym truście kontr-ICEO, ostatnim *software* do Stróży, książce Droppa, nowego guru ultrakonwergencjonalistów, manifeście *frei* Ivana Petrea, dyżurnego kontestatora OHX; oczywiście także o pogodzie giełdowej. Trzy lata temu sto dolarów to był dla Yesady majątek z marzeń – dziś przelewa między spekulacyjnymi rachunkami sto milionów. A jest jednym z najbiedniejszych xenotyków. Czy jednak można zapomnieć o własnym dzieciństwie? Aguerre obserwuje ją dyskretnie podczas posiłku, słowami, mimiką, gestami, spojrzeniem – okazując bezinteresowną sympatię. Tak, w końcu zapomnisz; ale ono nadal pozostanie w tobie, w odruchach najpierwotniejszych, w podświadomości, w snach, w gustach nie podlegających logicznej argumentacji. Dojmujące poczucie nieadekwatności, cichy lęk przed sprawiedliwą zemstą bogów i wielka radość z rzeczy najmniejszych; kompleks niższości. Lub właśnie na odwrót: kompleks wyższości, pewność wyniesienia. Oszczędny, dyskretny sposób, w jaki Yesada kroi i spożywa swoją pieczeń (w „Caffe Florian” każde mięso na oryginalnych genach!), wywołuje czemuś w Aguerre lekki wstyd. *Frei Ori* zdecydowanie bliższa jest pierwszej ścieżce. Paradoksalnie, może to jednak oznaczać, iż tym trudniej przyjdzie Frederickowi

nagiąć ją do swojej woli.

– To wino naprawdę takie dobre?

– O, tak.

– W każdym razie przykładają się tu do aplikacji iluzyjnych. Mhmm.

Potem wychodzą na spacer po nocnej Wenecji. Przestało padać, kamienie błyszczą rybio od świeżej deszczówki. Ująłby Yesadę pod ramię, gdyby nie była o tyle odeń niższa.

Piazza San Marco niczym jezioro oleju w koronie świateł, trapez cienistych arkad dookoła, z Palazzo Ducale wybiegają rozchichotane nastolatki; na gorzejącej tarczy zegara Torre dell Orologio dziewięta czterdzieści. Robi się chłodniej, Yesada naciąga na dłonie purpurowe rękawiczki.

Aguerre tylko potrzebował sygnału. Nakłada na transfer pieczęć krypto ich Stróży. W hierarchiach otwartych będą odtąd oboje, Frederick i Yesada, bełkotać bezsensowne sylabizacje, w przypadkowych układach warg i wibracjach krtani.

– Słyszałaś o Gabrielu Paige?

Nawet nie unosi na niego wzroku.

– Tak, *frei*.

– A co konkretnie?

– Sporo o tym w mediach. Mord na szlachcicu w święto xenotyków, w Aguerre City. Głośno było; głośno jest. Odżyli quinceyowcy. Trzeci w historii pozytywny werdykt Sądu Arté. Znowu się podniosą rewizje prawne osobistych konstytucji.

Zbyt wiele mówi, zbyt szybko. I nie patrzy na niego, patrzy przed siebie. Ręce założone na piersi, czerwone rękawiczki pod pachami. Ikona skrywanego łęku.

Aguerre ściska ją lekko za ramię.

– Yesada – mówi cicho. – Przecież ja wiem.

Przez chwilę idą spokojnie. Pozwala mu utrzymać uchwyt. Patrzy pod stopy, omija kałuże. Po nich można poznać iluzyjną naturę Aguerre: nie istnieją komplementarne aplikacje symulacyjne dla stamp xenotycznych.

– W rejestrach Zakonu tego nie ma – odzywa się wreszcie Ori.

– Nie.

– Przelewy szły z przysięgi, na krypto Stróża. Podawałam tylko regulaminowe dane. Malareth to spółka wirtualna.

– Wiem, sprawdzałem: podstawiony prezes zarządu i tak dalej.

– Więc skąd?

– Zwierzał się żonie.

Yesada wypuszcza z płuc powietrze – obłoczek oddechu przed twarzą, skroplone westchnienie.

– Ach tak.

– Taak.

Przystają na moście ponad kanałem. Dwie, potem trzy, potem cztery gondole zderzają się pod nimi, burta w burte, fala od motorówki spycha je na kolejne łodzie. Stampa *frei* Ori jest łagodniejsza i nie tak oczywista jak xenotyków starszych generacji: zaburza dookólną probabilistykę.

– Dokąd lataliście?

To ją podrywa. Prostuje się, spogląda na Aguerre szeroko otwartymi oczyma, a oczy ma ciemnobrązowe, bardzo duże, prawie bez fałd mongoidalnych. Gdy nie mruga – dziecinne zdumienie na gładkoskórej twarzy.

– Z tego się jej nie zwierzał?

– Najwyraźniej nie.

– Cóż.

- Dokąd?
- *Frei* Aguerre!
- Oburzona?
- Przysięgałam...

– Ale to nie jest prawo, to zaledwie obyczaj.

Yesada w końcu mruga (może coś wpadło jej do oka).

– Nie mogę uwierzyć, że to mówisz. Ty.

– A któż wie lepiej ode mnie? – Z powrotem ujmuje ją za ramię, sprowadza na nabrzeżny trotuar.

Zawracają ku Piazza San Marco. – Opowiem ci, jak to naprawdę było. Po syzygii pierwszego tuzina złożyliśmy grupowy pozew. Wtedy patent xenogenezy posiadały tylko CasLabs NASA i nie uciekli poza jurysdykcję sądów miejscowych. Wygraliśmy i postawiliśmy warunki. Wówczas już wszyscy szukali na gwałt nowych kandydatów, żeby złamać nasz monopol. „Nasz” – bo od początku stanowiliśmy grupę. Wtedy też Stiepanow wyciągnął kopyta i pokazało się, co znaczy śmierć xenotyka. Wymusili ściślejszy nadzór Stróży; zdołaliśmy wywalczyć tylko niepodległe krypto. Już było jasne, że istnieje i, co gorsza, pogłębia się ostra opozycja „nas” do reszty ludzkości. Musieli coś z tym zrobić, zbyt wiele zależało od xenotyków, byliśmy zbyt cenni, ale zarazem zbyt groźni. Bezpośrednia kontrola, środki represji i tym podobne sposoby nie wchodziły w grę, nie tylko z racji ich niepraktyczności, lecz przede wszystkim, aby nie odstraszać kolejnych kandydatów. To było zresztą już po kilkudziesięciu grubych umowach z prywatnymi konsorcjami i dysponowaliśmy małymi fortunami na batalie prawne i lobbying; tak czy owak nie daliby nam rady. Więc co zrobili? Wynajęli inżynierów memetycznych. Ci skonstruowali optymalny mit. *Ordo Homo Xenogenesis*. Jednocześnie wywyższający nas i ukorzeniający etos służby. Struktura hierarchiczna, etyka i estetyka wzorowane na organizacjach religijnych. Symbolika bezpośrednio wywiedlna z cechy wyróżniającej, piękno z brzydoty; nie wstydzić się, a szczyścić. Więc glej na sztandarach, glej na ubiorach. – Przesuwa dłonią po fioletowym kaftanie. – Także reguła Zakonu; także przysięgi poufności. To jest nic innego jak system zabezpieczający, Yesada. Nagroda i kajdany. Na tym polega prawdziwa potęga inżynierii memetycznej: jesteś świadoma manipulacji, a mimo to ulegasz; wiedza nie chroni przed urzeczaniem irracjonalnym. Więc taka jest prawda. To wszystko sztuczne, *frei*.

Przed nimi Basilica San Marco. Wchodzą w półmrok kościoła, ale zaraz zatrzymują się w sieni: nawy nie są objęte sieciami Iluzjonu.

– Co znaczy: sztuczne? – pyta Yesada. – Prawdziwe. – Obraca się ku odległemu ołtarzowi. – Kto może stwierdzić z całą pewnością, jaki był początek tego?

Aguerre źle się czuje w sytuacjach tak patetycznych, z chęcią uciekłby w ironię, cynizm, prześmiewcze aforyzmy człowieka, który wszystko to już dawno temu przemyślał, przeżuł i wypluł; ale ten lekki wstyd-niewstyd wobec Yesady, tak młodej, tak szczerej, wciąż go kłuje i łapie się Frederick na cichej zazdrości. Czego on mianowicie zazdrości xenotyczne? Naiwności?

– Honor zatem – mruczy. – Czy ja namawiam cię tu do zdrady?

Yesada odwraca głowę.

– Tak, chyba tak.

– A przecież wiesz, że w ten sposób chronisz mordercę.

Dziewczyna uśmiecha się nieśmiało.

– A czy nie taką właśnie etykę nam zaprojektowano? Księży, lekarzy, prawników.

– *Gaudi*, jaki piękny paradoks!

Opiera się Aguerre o zimny kamień.

Yesada odgarnia nerwowo włosy, purpurowe palce w czarnych splotach.

Mija ich para turystów stuprocentowo gliny; prawie się zataczają, zagapieni na Ori.

– Wenecja, Glina – szepcze Aguerre, powoli, ledwo słyszalnie, jak przystoi duchowi w domu Pana. – Gdzież większe nagromadzenie zabytków? Gdzie byłoby to większą katastrofą? Nie zabiją tu xenotyka. Prawda? Prawda, Yesada? Jak długo zamierzasz się tutaj kryć? Następny Kameleon już na ciebie czeka. Powiedz, a stracą motyw.

Ona tylko kręci głową.

– Po co ty w ogóle chciałeś się ze mną spotkać? Aguerre. Daj spokój. Z góry wiedziałeś, że nie powiem; nie mogę powiedzieć. Po co to było?

– Będę wróżył.

5. Siedem Mieczy, Papieżyca

Nie powiedziała; pozostają zatem dane z oficjalnych rejestrów Zakonu. Malareth Ltd. wynajmowała Yesadę Ori OHX, z licznymi przerwami, przez ponad dwa miesiące, poczynając od września. Odpisy rachunków znajdujące się w archiwach Zakonu mówią o siedmiuset dwunastu godzinach aktywnej Rzeźby oraz niemal równie długim sumarycznym okresie dyspozycyjności. Przysięgli pod Stróżem zwyczajowy jeden procent dla OHX ujawnia wysokość honorarium xenotyczki. Lord Amiel, *via* atrapowa Malareth, wypłacił młodej Ori osiemdziesiąt osiem milionów dolarów brutto. Zważywszy na poziom obecnego popytu na usługi xenotyków, trudno uznać tę kwotę za wysoką. Jeśli jednak spojrzeć na to od strony Gabriela... Tylko najwięksi krezusi mają xenotyków na prywatnych kontraktach, a lord Amiel do nich nie należał. Osiemdziesiąt osiem milionów to musiał być dla niego spory wydatek.

W archiwach Zamku znajdują się także regulaminowe wypisy z dzienników pokładowych Yesady Ori, ale znów jest to absolutne minimum wymagane przez Zakon: nagie bilansy czasu i odległości. Nic o kierunkach i celach lotów. I tak być powinno – inaczej któżby zaufał xenotykowi? Każdorazowy najem równałby się dla kompanii zdradzie tajemnic handlowych. Przysięga, której Yesada tak kurczowo się trzyma, może faktycznie jest tylko zwyczajem – lecz w takim razie jest to jeden ze zwyczajów konstytutywnych dla współczesnego pojęcia xenotyka i jego roli w gospodarce. Słusznie Yesada się dziwiła: Aguerre nie miał prawa oczekiwać, iż wyjawi przedśmiertne tajemnice lorda Amiel. Po co zatem odwiedził ją w Wenecji?

Bo z góry wiedział, iż ucieknie się do tego, do czego xenotycy zawsze się w podobnych sytuacjach uciekają: wróżby irracjonalnej; a żeby wzbudzić rezonans, trzeba membranę jak najbardziej zbliżyć do źródła wibracji.

Jeszcze spacerując z Yesadą po deszczowej Wenecji opuścił Aguerre City i Przerzeźbił się ponad atmosferę, do Ogrodów Orbitalnych. Ogrody Orbitalne Aguerre rozpościerają się na stu pięćdziesięciu kilometrach sześciennych, na stacjonarnej równikowej, powoli rozrastając się ku kształtowi pierścienia. Naturalny pierścień planety zaczyna się sporo wyżej, jednak Ogrody nie są bezpieczne od pochodzących stamtąd przypadkowych odprysków, kosmicznego gruzu spychanego na niższe orbity. Flanele miękkiego żywokrystu wypełniają dziesięciokrotnie większą przestrzeń, i to bynajmniej nie ku kształtowi kuli, ani elipsoidy – większość żywokrystnej waty, tak delikatnej, że z Ogrodów całkowicie przezroczystej, buforuje przestrzeń pomiędzy Ogrodami a pierścieniem. Mniejsze i większe bloki kosmicznego gruzu grzęzną w tej niewidocznej gęstwie – kamienie i lód, aż po mikrometeory. Taki jest system chłono-trawiący Ogrodów. Z przechwytywanej materii żywokryst transmutacyjny dobudowuje nowe segmenty Ogrodów lub inne, niezależne moduły, wedle zapotrzebowania, priorytetów, stosunku podaży do popytu oraz proponowanych sum. Aguerre wszystko to niewiele obchodzi: posiada większościowe udziały w spółce kontrolującej Ogrody Orbitalne. Złożył zamówienie i niemal natychmiast reprogramowano podług niego żywokryst w jednym z granicznych sektorów. Zmienia się front fali przyrostu struktury.

Podczas gdy pod pierścieniem rośnie powoli jego prywatny Ogród, Aguerre dotrzymuje towarzystwa lady Amiel oczekującej przybycia kursowego transportowca na Błękit (niemal wszystkie regularne Rzeźby FTL zahaczają o planetę xenotyków, jej odległość od Punktu Ferza wciąż nie przekracza roku świetlnego). Wnętrze Ogrodów Orbitalnych zarastają ściśle wielokolorowe nieważkościowce kutrypiczne. Skłębione masy kutrypicznego życia odcinają widoki dalszych fragmentów Ogrodów; nie ma tu ścian żywakrystnych, jedynie sam szkielet – reszta to drzewa, kwiaty, pnącza, grzyby i mchy tudzież gatunki zupełnie pozbawione analogów w świecie flory DNARodnej. Tym bardziej nie widać przez nie gwiazd, pierścienia, ani planety; chyba że w Iluzjonie – ale oboje są w 90% w Glinie.

Aguerre rozkłada karty. Carla zagląda mu przez ramię.

– Na co wróżysz?

– Wędrówki Gabriela.

– Ach. No tak. – Przygląda się przez chwilę Arkanom. Aguerre ciągnie z potrójnie przełożonej talii, od serca. Błat okazuje się za krótki, więc wydłuża go szarpnięciem o kolejny metr. Carla marszczy brwi.

– Mhm, ale jak właściwie? Przy takiej ilości zmiennych...

– Nie jest tak źle, a z archiwów Zakonu mam zgrubne dane na temat odległości, więc już zamykam się w sferze. Od tego odejmuję wewnętrzną kulę, bo nie było meldunków o Rzeźbie Ori w podanych przedziałach czasowych.

– Ale i tak – to są tysiące, miliony gwiazd. Mylę się?

– *Nai*.

– Więc? – Carla odchyła się wstecz, kutrypiczna drzeworośl pochłania energię ruchu i, odczytując intencję, przeorientowuje korzenną kolebkę, unosząc ją nieco ponad błat i obracając lekko na osiach prostopadłych. Wiszą teraz oboje nad złoto-srebrnym tarotem (talia według Wzoru Łuźnego) rozłożonym na ebonitowo czarnym stole. – Nigdy do końca nie rozumiałam, na jakiej zasadzie to działa.

– Tarot?

– Wróżby xenotyków. Przecie to zabobon.

– *Gaud*, następna! – wzdycha Aguerre.

Carla posyła mu kose spojrzenie, przez sekundę znowu zdolna do arystokratycznej wyniosłości. Jedwabny wachlarz trzaska ostro, złożony szybkim ruchem palców.

– Okay, okay – mamrocze xenotyk. – Przeczytaj „Sny o Karakorum” Łuźnego; ja ci mogę tu dać kulawe streszczenie. Że, oczywiście, wszystko jest w gleju.

– Oczywiście – sarka kobieta. – *Deus ex gluex*, mogłam się spodziewać.

– Ale taka jest prawda. Zeroczasowe transmisje wewnątrzglejowe otwierają drzwi na otchłanie pozaobliczalności. Co prawda na razie nie potrafimy tego wykorzystać – niemniej GRI i międzygwiazdna sieć informacyjna funkcjonują w czasie rzeczywistym tylko dzięki bioprzebieżnikom glejowym, chociaż niby ułomnym i tracącym nanosekundy na sztucznych sprzęgach. Przecież wiesz. Natomiast my, bezsenni, nie tylko że mamy go w modułach łączności wszczepek, nie tylko że mamy go w Stróżach – mamy go w genach, we krwi, w mózgach, myślimy nim. Po części. Ta część impulsów nie idzie w ogóle przez synapsy, lecz przez residua glejowe. A glej i glej – we mnie, w innych bezsennych, w Bagnach, na Szadrze – jak odróżnić? gdzie się kończy, gdzie zaczyna? Nie posiada nawet liczby mnogiej.

Wykłada kolejną kartę: Papieżyca. Tak zamyka lewy krzyż, otwarty Rydwanem.

– Więc kiedy wróżę, próbuję sięgnąć właśnie tam. Dać szansę na ujawnienie się tej wiedzy, której nie mam prawa posiadać; zorganizować formę dla pochwylenia informacji nieuchwytnych; dać ujście rozumowaniom, których nie sposób przeprowadzić. Stworzyć matrycę dla odbicia kształtu rezonansu, jaki wzbudziły we mnie rzeczy, których nie byłem nawet świadomy. Złamana nuta w głosie *frei* Yesady. Ruch oczu Gabriela. Setna pogłoska na przyjęciu. Drobne anomalie w którejś z tysiąca statystyk; niedawno wchłonąłem wszystkie raporty Zakonu z ostatniego roku. Wiem, tylko że nie wiem. Wróżę

więc.

Carla wachluje się w zamyśleniu. Spogląda na Aguerre, na karty, na Aguerre; przygryza krawędź wachlarza.

– Tarot.

– Tak.

– Popularny.

– Tak. Większość z nas ucieka się do kart. Niektórzy rzucają zwierzęcymi kośćmi. Niektórzy łodygami krwawnika. Niektórzy składają ofiary; wówczas wnętrzości lub krew. W każdym razie musi to być jakiś zbiór podlegających randomicznej permutacji elementów o przypisanej bogatej symbolice.

– Rorschach.

– Z *feedbackiem*. Ujęty w reguły. Podlegający skupieniu.

– Czemu nie zapytasz od razu o mocodawcę Kameleona?

– W końcu zapytam. Gdy zbiorę wystarczająco dużo danych, by wzbudzić rezonans, i zamknę liczbę możliwych odpowiedzi.

Znowu dłuższą chwilę zamyślona. Aguerre rozkłada karty raz za razem. Kutrypowe owadoidy roznoszą szczepienia dla podróżnych udających się na Błękit, Szukacz i Wojtyłę. Jeden przysiada na ramieniu kobiety, kłuje przez bluzkę. To wytrąca ją z transu; a może z Iluzjonu.

– Musieli się spodziewać.

– Mhm?

– Suwereni Kameleona. Że któryś z was wyciągnie ich z takiej wróżby. Na litość boską... w stolicy xenotyków, na oczach całej ludzkości...! Musieli się spodziewać.

– Tak.

– A mimo to...

– A mimo to.

W Iluzjonie/Open/OrbitalGardenAguerre00 ogłoszone zostaje ustanowienie żywokrystnego korytarza z kursowcem na Błękit. Carla wciąga głęboko powietrze. Przechyliła się ku Aguerre i drzeworośl gnie się wraz z nią. Chwyta xenotyka za ramię, ścisła mocno.

– Powróź sobie, Fred – szepcze. – Powróź sobie samemu. Nie jesteście nieśmiertelni.

Aguerre mruga, zaskoczony. Z sekundowym opóźnieniem odrywa rękę od kart, unosi do dłoni kobiety; następnie całuje ją, wewnątrz, nadgarstek. Spojrzenia złączone. Drżą kutrypiczne liście.

Półuśmiech.

– Lecz jakże głośno umieramy.

Przez następne szesnaście godzin, po odlocie Carli Paige ze zwłokami męża do ich majątku, zanim wyrasta Ogród Aguerre, xenotyk wróży nieprzerwanie.

6. Przeciwno nieskończoności

Cóż poradzi człowiek naprzeciw nieskończoności? Co poradzi xenotyk? Wróżba niepewna prowadzi *frei* Fredericka Aguerre krętym szlakiem przez galaktykę.

Ogród Aguerre, zrealizowany według standardowego jego programu, nie jest duży, lecz, jako struktura otwarta, stwarza złudne wrażenie przestronności. Sześć ażurowych płaszczyzn przecina się wzdłuż ośmiu linii, nie do końca prostopadłych i nie do końca równoległych, w ten sposób powstaje jedno pomieszczenie zamknięte oraz dwadzieścia sześć mniej i bardziej otwartych na gwieździsty kosmos. To jedno zamknięte też nie do końca jest zamknięte: żywokryst każdej z płaszczyzn jest nieco inny – a to półprzeźroczysty, a to siatkowy – i do wnętrza komory sączy się zimne światło gwiazd.

W komorze znajduje się jacuzzi oraz inne utensylia łazienne. Zapas wody i żywokrystne instalacje filtrujące zajmują kubik dolny, pięćścienny; z szóstej strony woda napiera tam na próżnię.

A przynajmniej tak mogłoby się wydawać patrzącemu na Ogród z zewnątrz. W rzeczywistości Ogród posiada ściśle określone granice: gruby, całkowicie przezroczysty żywokryst termoizolacyjny chroni go przed próżnią, zabudowuje w kształt bliski kuli.

Aguerre spoczywa na futonach w górnym przednim kubiku trójściennym. Wciąż w stu procentach w Glinie, obserwuje spod wpółprzymkniętych powiek jak gwiazdy rozjeżdżają się na boki przed Ogrodem. NavigatorXG jedzie ostro na Aguerre, wykonywane są równoległe trzy makra, w tym klasyczny SpaceSculptor na 99.7% maxoct. Gdy w sumie wykorzystywany jest prawie cały oktormorficzny potencjał Fredericka, gdy mózg puchnie mu w uścisku Stróża – zapada się Aguerre w stan spośród dostępnych mu najbliższy snowi. Ogarnia go przyjemne ciepło, kończyny ciężą... Ogród tymczasem płynie przez kosmos z pozalokalną wielokrotnie przewyższającą prędkość światła.

Pierwsze makro, OnTheGround, zafiksowuje Rzeźbę lokalnej studni grawitacyjnej pod wodnym kubikiem Ogrodu, ustalając kierunki ciężenia. Drugie makro, bardziej wyrafinowana wersja Cage'a, ustanawia zewnętrzne ochronne pola grawitacyjne. Natomiast SpaceSculptor v. 16.12 (*upgrade* sprzed czterech dni) Rzeźbi „lokalne siodło” czasoprzestrzeni oraz w sposób ciągły przekształca bezpośrednio jego sąsiedztwo, z przodu ją „ściągając”, z tyłu „rozciągając”. Aguerre leci do pierwszej spośród gwiazd wskazanych przez tarot.

Tymczasem myśli półświadome dryfują mu ku Carli, Gabrielowi i Carli. Były trzy fazy jego niemałżeństwa z Carlą. Przez pierwsze lata po syzygii, kiedy nawet celibat stanowił po części kolejną ze snobistycznych ekstrawagancji, prawie w ogóle o Carli nie pamiętał. Potem poznał ją po raz drugi, jako żonę Gabriela Paige (jeszcze zanim otrzymał on szlachectwo) – i tak zaczął się jego niemożliwy związek z Carlą. Siedem, osiem lat żył tak, w najbardziej niespodziewanych momentach zapadając się w infantylne marzenia o życiu alternatywnym, w którym popłynął był na Sycylię; marzenia: substytut snów. Miał alternatywny dom (pod Sewillą), alternatywną karierę (jako tłumacz przy Lidze Suwerenów), alternatywnych przyjaciół, alternatywne smutki i radości; i dzieci, i chwile ekstazy, i miłość śmiertelną – dla których alternatywy nie było. Rzecz jasna nigdy o tym Carli nie powiedział. Zresztą podczas owej fazy po pierwszym ponownym spotkaniu nie rozmawiał z nią ani razu; z Gabrielem – tak (Gabriel ogłosił już swe prace ksenobiologiczne, zabezpieczył patenty i zaczynał współpracę z ICEO i OHX), ale nie z Carlą. Nie należy mieszać marzeń z rzeczywistością, schizofrenia była sterylna. Więc faza trzecia zaczęła się od ich rozmowy w Glinie. Życie alternatywne zostało sfalsyfikowane: Carla była żoną Gabriela, nie jego. Nie było dzieci, nie było miłości, nie było niczego – istniała jedynie, przez chwilę, przez ułamek adriatyckiej nocy, możliwość, nigdy nie zrealizowana.

Więc kłamstwo, więc sen bezsennego, więc pustka... tym niemniej pamiętał. A pamięci nie odmieni, jak i nie odmieni siebie, chociażby chciał. (Nie chce). Toteż po prawdzie Carla jest jego żoną; w każdym razie jego stosunek do niej zbudowany jest w dużej mierze na tych wspomnieniach wspólnego z nią życia. Stąd wyrastają Frederickowe odruchy, reakcje psychologiczne, obecne jego dla niej uczucia, także kompleksy – jak na przykład ten, który każe mu teraz przemierzać na fali FTL Mleczną Drogę w poszukiwaniu tajemnic, które sprowadziły na lorda Amiel artystyczną śmierć z rąk Kameleona o nieznanym pochodzeniu.

A przecież czekają na niego ważne sprawy w Aguerre City, przecież wie, że źle czyni, wychodząc na tyle godzin z Iluzjonu. Lecz zarazem czuje, że powinien doprowadzić do końca to śledztwo; że inaczej nie potrafiłby spojrzeć żonie w oczy.

No i leci. Pierwsza gwiazda odległa jest od Punktu Ferza o ponad tysiąc siedemset lat świetlnych. Błękitny olbrzym, brak planet, w każdym razie odbicia żadnej nie wychwytuje rozpylony na miejscu z Ogrodu żywokrystny teleskop dyspersyjny, ani nie drga od jej rezonansu prowizorycznie rozstawiony

gravitometr. Czy to tutaj Przerzeźbiła Gabriela Yesada? Uwolniony ze szponów NavigatoraXG stoi Aguerre przy krawędzi bocznego kubika i wygląda na ciemność obracającą się wokół jaśniejszej od bieli tarczy olbrzyma; w dłoni – karafka z putaporrem. Dwa kubiki wypełnione zostały przed odlotem kutrypiczną biomasa i ze szczepionek zdążyły rozwinąć się wkomponowane w żywokryst rośliny, Ogród zaczyna przypominać ogród, żółte powoje płożą się pod bosymi stopami xenotyka. Klęka, odstawia karafkę, rozkłada nad próżnią dwie mandale, Trójka Pucharów przesłania słońce. Leci zatem dalej. Cóż poradzić przeciwko nieskończoności? Trzeba oszukiwać.

Układ podwójny. Pulsar. Poczwórny. Biały karzeł. Nebula. G3 z planetami. G5 bez planet. Dni, miesiące. Coraz dłuższe przystanki przy sprawdzanych gwiazdach – wtedy wchodzi w Iluzjon/Earth, Iluzjon/AguerreCity, wypełnia zaległe obowiązki.

Bo znowu krąży plotka o hackerskich atakach na Stróże, musi Aguerre zwoływać konferencje prasowe u Kabalistów. Podnosi się to z regularnością pływów odksiężycowych, na nic racjonalne analizy, strach jest tak przemożny, że co i raz to odrasta hydrze podejrzeń nowa głowa. Co gorsza, boją się także sami xenotycy. – Ja już przestałem wierzyć, że kiedykolwiek się to skończy – wzdycha doktor Szarski, szef kryptologów Zakonu, gdy oczekują w atrium Pałacu Szyfrów w Aguerre City na otwarcie chatu iluzyjnego. Atrium mieści się na najwyższym, czterdziestym piętrze rozległej, barokowej budowli i przez otwarty dach wpada tu światło odpierścienne; przechadzający się między fontannami paw nie zwraca uwagi ani na kryptologa, ani na xenotyka, nie ma w nich ani promila Gliny. – To jest jak z Kennedym, Roswell albo Corradolami – tłumaczy Szarski. – Teoria żyje własnym życiem. Wystarczy wyobrażenie potencjalnego zagrożenia. Bo rzeczywiście, teoretycznie Stróże mogą wejść na obwodówki i edytować was w czasie rzeczywistym wbrew waszej woli, jeśli ktoś złamie ich kod. Fakt, że kody są nie do złamania, traci na znaczeniu, gdy się pomyśli o piekle, jakie by rozpętał jeden przemyślny programik na mózgach xenotyków; niech się Holocaust schowa. To proste prawidła psychologii. – Nie pomnę, ile już wydaliśmy na inżynierów memetycznych. – Wiem. Ale tak samo było podczas Zimnej Wojny z arsenałami jądrowymi. A wy jesteście jeszcze groźniejsi. – Czas. Atrium ekspanduje tysiąckrotnie, wypełniając się iluzyjnym tłumem.

ICEO odracza kolejną rundę negocjacji w sprawie sześcioletniej umowy zbiorowej z Zakonem. W hanowerskich biurach kancelarii Lowell, Lowell & Chei, reprezentującej *Ordo Homo Xenogenesis*, spotykają się pełnomocnicy stron. Mniej więcej od chwili zawiązania się trustu pomniejszych korporacji i agencji rządowych skierowanego przeciwko molochom zrzeszonym w *Interstellar Commercial Enterprises Organization*, ta ostatnia zaczęła stosować taktykę opóźnień i uników. Dla Aguerre i Marie-Anne Licozzi OHX, która nadzoruje działania prawne Zakonu, pozostaje to polityczno-ekonomicznym absurdem. Negocjatorzy Lowell, Lowell & Chei rozkładają ręce. – To nie ma sensu, *frei*. Oni właśnie powinni dążyć do jak najszybszego podpisania umowy, zanim jeszcze trust zdąży coś wykombinować. A w ten sposób strzelają sobie samobója. – Chyba że jakiś nowy Żłobek... – mruczy Licozzi. – Ale Elka z Syriusza niczego nie zarejestrowała.

Atak terrorystyczny na Windę Kordylierską; w efekcie kumulacja opóźnień i tłok na ziemskiej orbicie. Z trzech Wind ta jedna padała ofiarą sabotaży już sześciokrotnie. Nigdy nie spowodowano wielkich uszkodzeń (konieczne dla dokonania poważniejszych zniszczeń żywokrystnej instalacji rozmieszczenie ładunków wymagałoby faktycznej kooperacji zarządców Windy), jednak przestoje powstające na skutek ogólnego zamieszania, prowadzonych dochodzeń i nieustannych nalotów eksperckich ekip firmy ubezpieczającej Windę, kompletnie rozkładają harmonogram. Rząd Brazylii wykupuje usługi dwójki xenotyków na bezpośrednie Przerzeźnienie swego najpilniejszego cargo na orbitę. Jeden z tych wynajętych to John „Dowcipniś” LeMote: dla zabawy miesza w atmosferze nad Ameryką Środkową. Deszcze, powódzie i susze. Znowu Aguerre musi robić za ambasadora dobrej woli.

Odkrycie młodej ziemiopodobnej planety daleko wzdłuż ramienia: Wektor Ferza skręca i rośnie.

Może czas najwyższy Przerzeźbić planetę Aguerre na orbitę gwiazdy przecinanej przez Wektor? Sytuacja dodatkowo się zaciemnia, bo grupa utytułowanych ekonomistów z Oxfordu występuje z rewizją niektórych współczynników pierwotnego algorytmu Ferza i teraz są dwa Wektory. Komu wierzyć? Tu mała różnica może skutkować stratami bilionowymi. Stary Ferz przeprowadził swoje obliczenia na zamówienie proto-ICEO. Każdej gwiazdzie przyporządkował zestaw wskaźników opisujących jej oddalenie od innych gwiazd, częstotliwość lotów, wartość wymiany gospodarczej *etc.*; wszystko w jednostkach sprowadzalnych do roboczogodziny xenotyka o 100 oct. Tak zapuszczona na algorytmach genowych symulacja galaktyki oczywiście zeruje się na 99.99999...% lokacji, lecz dla tego ułamek z okolicy Słońca znajduje miejsce stanowiące początek najbardziej ekonomicznych tras do wszystkich tych gwiazd. To właśnie jest Punkt Ferza i bynajmniej jego położenie nie pokrywa się z położeniem Ziemi: rozkład przestrzenny interesów ludzkości w galaktyce nie jest idealnie symetryczny. Niewiele trzeba: mały przewrót technologiczny, sprawniejsza metoda syzygii, ziemiopodobna planeta na peryferiach... i już – Punkt dryfuje przez kosmos o parseki całe. Często zmiany niwelują się wzajemnie; lecz czasami właśnie nakładają, kumulują, i wówczas Wektor wystrzeliwuje niczym hydrauliczna lanca. Wektor Ferza bowiem to wskaźnik wysoce spekulatywny: opisuje przewidywane przesunięcie Punktu w zadanym przedziale czasowym. Dla *Primusa* OHX wszakże jest kwestią honoru utrzymanie pozycji swej planety jako placówki najbliższej Punktowi, a zatem – centralnego węzła komunikacyjnego. Wszystkie drogi winny prowadzić do Aguerre.

Hesjøg, prefekt policji Aguerre City, składa raport o zamknięciu śledztwa w sprawie mordu na lordzie Amiel; w świetle konstytucji zabitego po orzeczeniu sądu quinceyowców i tak było ono pustą formalnością. – Całe AC i Ogrody Orbitalne objęte są skanem Iluzjonu, więc mamy pełny zapis jego poczynań od chwili opuszczenia czarteru CT do śmierci, minus sfery prywatności. Występował jako Daniel Dilalle; miał jego fenotyp, genotyp, papiery i kody ID. Prawdziwy pan Dilalle nie opuścił domu na Horyzoncie; nie jest jasne, czy został przekupiony, czy zmanipulowany. Ze szczątków Kameleona odzyskaliśmy nieorganiczne nano jego wszczepki, ale nie udało się odtworzyć struktury, ani, tym bardziej, rozszyfrować kodów jego *software'u* RNAdycyjnego. Trop finansowy także prowadzi donikąd: „Dilalle” płacił z kont hasłowych nabitych gotówką parę dni wcześniej. Słowem: czysto. Przykro mi. – Całuje pierścień *Primusa* i znika.

W Nowym Jorku, w Lidze Suwerenów, wystąpienie przedstawiciela Francji, składa on projekt rezolucji zakazującej stosowania wysokoenergetycznych RNAdytorów w technologiach wojskowych; poseł OHX popiera.

Yesada kupiła mieszkanie w Rzymie; oczywiście nie ma mowy o wynajmie dla xenotyka, dobrze, że nie musiała kupować całej kamienicy – residua postampowe potrafią utrzymywać się latami, drobne perwersje czasoprzestrzeni. Nie opuszcza Yesada miasta. Rzym! Tu będzie bezpieczna.

Utrakonwergencjonałiści założyli fundację, wynajmują xenotyków i latają na własną rękę szukać planet glejonośnych.

Wybory w UE, frekwencja jednocyfrowa.

Xenotycy w Watykanie, prywatna audiencja...

Dni, miesiące.

Czy owa pielgrzymka ma w ogóle sens? Chowa się w kolorowej gęstwie kutrypowego ogrodu/Ogrodu przed ogniem tych samotnych słońc, coraz odleglejszych od Punktu Ferza. Po ilu daremnych próbach zrezygnuje?

Jacek Dukaj